



CZĘŚĆ TRZECIA

**PODRÓŻ DO LAPUTY
DO BALNIBARBÓW
DO LUGGNAGGU
DO GLUBBDUBDRIBU
I DO JAPONII**



ROZDZIAŁ I

*Gulliwer przedsięwzięcie trzecią podróż. Złapanie przez rozbójników morskich.
Złośliwość jednego Holandczyka.
Dostaje się do Laputy.*

LEDWIE DNI DZIESIĘĆ zabawiłem w domu, gdy odwiedził mnie kapitan William Robinson z Kornwalii, dowódca okrętu „Dobra Nadzieja”, o ładunku trzystu beczek. Byłem ja kiedyś chirurgiem na innym okręcie, który w czwartej części ładunku do niego należał, i odprawiłem z nim podróż do Lewantu. Obchodził się ze mną nie jak z podwładnym, ale jak z własnym bratem. Dowiedziawszy się o moim przybyciu przyszedł do mnie, jedynie dla okazania mi, jakem się domyślał, swojej życzliwości gdyż mówił tylko o rzeczach po długim niewidzeniu przyjaciela zwyczajnych. Lecz później odwiedzał mnie bardzo często, cieszył się mocno z pomyślnego stanu mego zdrowia i pytał, czylim na zawsze postanowił zostawać w domu. Powiedział, że myślał jechać do Indii Wschodnich i że się spodziewał we dwa miesiące ruszyć w tę podróż. Wmówił przy tym we mnie, że miałby za wielkie ukontentowanie, gdybym chciał zostać chirurgiem na jego okręcie, że miałbym pod sobą innego chirurga i dwóch chłopców, że mi wyznaczy podwójną płacę i że doświadczywszy, iż się prawie równie jak i on znam na morzu, przyrzeka obchodzić się ze mną, jakbym był współdowódcą okrętu.



Na koniec tyle mi naświadczył grzeczności i tak mi się zdał człowiekiem pocziwym, że mając, mimo doznanych nie-szczęśliwości, ciągle wielką ochotę oglądania świata, dałem się namówić. Jedyną trudność była dostać zezwolenie mojej żony, lecz ona chętnie na to przystała, zapewne mając przed oczami korzyści, które stąd dla jej dzieci mogły wyniknąć.

Wyszliśmy pod żagle dnia piątego sierpnia roku 1706 i przybyliśmy do fortecy Św. Jerzego dnia jedenastego kwietnia roku 1707. Tam bawiliśmy przez trzy tygodnie dla poratowania zdrowia naszych ludzi, z których większa część chorowała. Stamtąd udaliśmy się ku Tonkwinowi, gdzie kapitan nasz myślał zatrzymać się czas niejaki, ponieważ towary, których nakupić pragnął, nie mogły mu być dostarczone prędzej jak w kilka miesięcy. Ażeby sobie koszt z tego opóźnienia wynagrodzić, kupił jeden statek naładowany różnymi towarami,

którymi pospolicie Tonkwinczykowie z pobliskimi wyspami handlują, i wsadziwszy na ten mały statek ludzi czterdziestu, między którymi trzech było tamtejszych rodaków, postawił mnie nad nimi kapitanem, dając mi moc na dwa miesiące, przez które sam interesa swoje w Tonkwinie miał sprawiać.

Nie minęły trzy dni od naszego puszczenia się na morze, jak za powstaniem wielkiej nawałności pędzeni byliśmy przez dni pięć między wschód i północ, a potem na wschód. Czas nieco się wypogodził, ale wiatr zachodni zawsze wiał mocno. Dnia dziewiątego dwóch rozbójników morskich na nas napadło i wkrótce nas złapali, gdyż statek nasz był tak obciążony, że nie podobna nam było ani uciekać, ani też się bronić.

Rozbójnicy z zapalczywością wpadli na nasz statek, lecz znalazłszy nas wszystkich pokornie na ziemi leżących (co ja pierwszej jeszcze rozkazałem), poprzestali na powiązaniu nas i przydaniu nam straży, a potem zaczęli plądrować nasz sta-



tek. Postrzegłem między nimi jednego Holandczyka, który zdał się mieć jakąś władzę, choć nie był komendantem. Poznał, żeśmy Anglicy, i zapowiedział w swoim języku, że nas wszystkich powiążą i w morze wrzucą. Znając dość dobrze język holenderski powiedziałem mu, kto byliśmy, i błagałem, ażeby za nas, jako chrześcijan i protestantów, swoich sąsiadów i sprzymierzeńców, raczył wstawić się do kapitanów. Moje słowa bardziej go jeszcze rozjątrzyły, podwoił swoje groźby i obróciwszy się do swych towarzyszy mówił do nich językiem japońskim, często powtarzając imię „christianos”.

Większy tych rozbójników okręt był pod komendą jednego kapitana Japończyka, który trochę mówił po holendersku. Przystąpiwszy do mnie po różnych zapytaniach, na które mu z największą odpowiadałem pokorą, upewnił mnie, że nam nie będzie odebrane życie. Uczyniłem mu jak najuniżeńszy ukłon i obróciwszy się natenczas do Holandczyka rzekłem mu, iż przykro mi bardzo więcej widzieć ludzkości w bałwochwalcy niżeli w chrześcijaninie. Ale wkrótce żałowałem tych słów nieroztropnych, ponieważ ten nędzny potępieniec, gdy nie mógł namówić dwóch kapitanów do wrzucenia mnie w morze (na co oni przystać nie chcieli z przyczyny danego słowa), wymógł na nich, że srożej jeszcze ze mną postąpiono, niż gdyby mi życie odebrali. Rozdzielili moich ludzi na dwa okręty, żadnego nie zostawiwszy na statku. Co do mnie, uchwalili puścić mnie na los szczęścia w czółnie małym o dwóch wiosłach i jednym żaglu, z opatrzeniem żywnością na dni cztery. Kapitan Japończyk podwoił ją dla mnie z własnych zapasów i nie pozwolił mnie obdzierać. Wstąpiłem więc w czółno, gdy tymczasem dziki Holandczyk, stojąc na pokładzie okrętowym, okładał mnie obelżywościami i przekleństwami, jakich tylko jego język mógł mu dostarczyć.

Godzinę pierwej, nim nas rozbójnicy napadli, znalazłem z mojej kalkulacji, żeśmy się znajdowali pod czterdziestym szó-

stym stopniem szerokości południowej, a sto osiemdziesiątym trzecim — długości. Oddaliwszy się nieco, postrzegłem przez perspektywę wiele wysp między południem i zachodem. Wtenczas, mając wiatr pomyślny, podniosłem żagiel, chcąc do najbliższej zawinąć, czego w trzy godziny z wielką trudnością dokazałem. Wyspa ta była całkiem skalista. Znalazwszy jednak wiele jaj ptasich, skrzesałem ognia i roznieciłem z wrzосу i z sitowia morskiego, ugotowałem jaja, które tego dnia były moim pokarmem, ponieważ ile możności, wszelkimi sposobami chciałem żywność moją oszczędzać. Przepędziłem tę noc pod skałą, gdzie nasławszy wrzосу spałem dosyć dobrze.

Nazajutrz udałem się do drugiej wyspy, stamtąd do trzeciej i do czwartej, czasem używając wiosła, czasem żagla. Lecz żebym mego czytelnika nie nudził, powiem mu tylko, iż dnia piątego zawinąłem do ostatniej wyspy, która leżała na południowy wschód od poprzedniej.

Była ona dalej, niż mi się zdawało, i ledwie mogłem do niej w pięciu godzinach dopłynąć. Musiałem ją naokoło obejrzeć, nim znalazłem miejsce, w którym by można zawinąć do lądu. Wysiadłszy na ląd w małej zatoce, trzy razy od mego czoła szerszej, znalazłem, że cała wyspa była skałą, tylko gdzieniegdzie znajdowały się miejsca, na których rosła trawa i zioła arcywonne. Wziąłem trochę żywności i nieco posiliwszy się resztę złożyłem w jednej z jaskiń, których tam było dosyć. Nazbierałem jaj, narwałem sitowia morskiego i ziół suchych, aby nazajutrz roznieciwszy ogień ugotować jaja, gdyż miałem przy sobie krzesiwo, hubkę i szkło palące. Przepędziłem noc całą w jaskini, gdzie złożyłem moją żywność, i spałem na tych ziołach, które na ogień były przygotowane. Mało spałem, będąc bardziej jeszcze niespokojny niż utrudzony. Uważałem, że nie podobna było nie umrzeć w tak nędznym miejscu i że najnędźniejszy koniec mnie czeka. Tak zostałem tymi uwagami skołatany, że mi nawet wstawać było ciężko; nim przy-

szedłszy do sił wyszedłem z jaskini, już było blisko południa. Czas był piękny, a słońce tak dogrzewało, że musiałem twarz odwrócić.

Ale nagle zachmurzyło się, innym jednak sposobem, niż kiedy słońce za chmurę zajdzie. Spojrzałem na słońce i zobaczyłem jakąś wielką machinę nieprzezroczystą między mną i słońcem, która, zdało mi się, że się w tę i ową stronę ruszała. Machina ta, zawieszona na jakie mil dwie w górze, zasłaniała





mi słońce przez sześć lub siedem minut. Nie spostrzegłem jednak, ażeby powietrze było zimniejsze i niebo ciemniejsze, niż gdybym się znajdował w cieniu wielkiej góry. Gdy ta machina spuściła się bliżej ku miejscu, gdzie stałem, zdała mi się być z materii twardej, z gładkim i płaskim spodem, który przez odbijające o niego z morza promienie słoneczne przepysznie się

świecił. Zatrzymałem się na jednym wzgórku, o jakie dwieście kroków od brzegu, i widziałem, że się ta machina równolegle do mnie spuszczała i jakby na miłą zbliżyła. Naówczas wzięwszy teleskop postrzegłem mnóstwo ludzi uwijających się po spadzistych brzegach tego ciała, nie mogłem jednak dostrzec, co by robili.

Przyrodzona miłość życia wznieciła w sercu moim niejakie uczucia radości i nadziei, że przypadek ten wyratuje mnie może z tak smutnego położenia. Ale trudno, żeby czytelnik pojął, w jakie wpadłem podziwienie widząc wyspę napowietrzną, zamieszkałą przez ludzi, którzy (jak się zdawało) mogą nią w górę lub na dół kierować i podług upodobania swego jeździć nią po powietrzu. Lecz nie znajdując się naówczas w stanie filozofowania nad tym tak dziwnym przypadkiem, uważałem tylko, w którą stronę obróci się ta wyspa, ponieważ zdało mi się, że się w biegu przez niejaki czas zatrzymała.

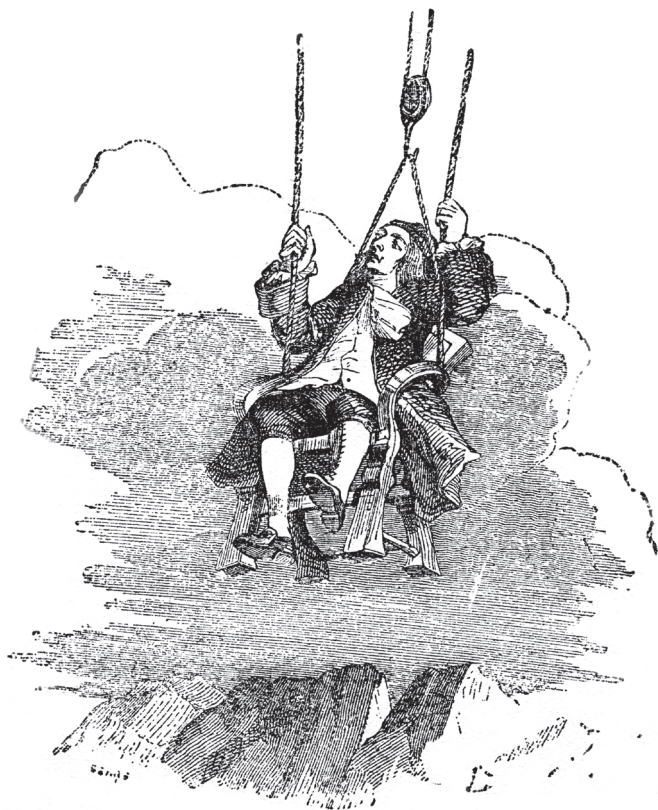
Niedługo potem zaczęła się zbliżać ku mnie, że już dobrze widziałem na niej ganki i gdzieśgdy schody dla komunikacji jednych z drugimi. Na najniższym ganku widziałem wielu ludzi łowiących wędką ptaki, drugich zaś, co się na to patrzyli. Dawałem im znaki czapką (kapelusz mój już dawno był zużyty), powiewałem chustką, a gdy się jeszcze bardziej zbliżyli, wołałem ze wszystkich sił i postrzegłem, że na brzeg naprzeciwko mnie mnóstwo ludu wyległo. Poznałem po ich postaci, że mnie postrzegli, chociaż nic mi nie odpowiadali. Ujrzałem naówczas pięciu lub sześciu ludzi szybko idących ku wierzchołkowi wyspy i pomyślałem, że wysłano ich do jakiejś osoby mającej zwierzchność, dla wzięcia od niej rozkazu, co w tej okoliczności uczynić.

Powiększał się tłum ludu, a w mniej jak pół godziny wyspa tak się zbliżyła, że najniższy ganek był nie dalej ode mnie nad sto kroków. Wtenczas zacząłem w różnych postaciach okazywać najwyższe prośby z największą uniżonością i pokorą, ale

żadnej odpowiedzi nie odebrałem. Ci, co byli najbliżej mnie, sądząc z ich odzienia, zdawali mi się być osobami znakomitymi.

Na koniec jeden z nich odezwał się do mnie językiem gładkim, jasnym i bardzo przyjemnym, którego brzmienie było do włoskiego podobne. Ja też odpowiedziałem po włosku, myśląc, że głos i ton języka tego miłszy ich uszom będzie niż jakikolwiek inny.

Chociaż to wszystko było daremne, bo zrozumieć się wcale nie mogliśmy, poznano jednak że w nieszczęśliwym znaj-



duję się położeniu, i dano mi znak, żebym zstąpił ze skały i szedł ku brzegowi, co natychmiast uczyniłem, a wtenczas gdy się wyspa zniżyła do odpowiedniej wysokości, z najniższego ganku spuszczone łańcuch z przywiązany na końcu krzeselkiem, na którym usiadłszy, w jednej chwili za pomocą kafara zostałem na wyspę wyciągniony.

ROZDZIAŁ II

*Charakter Lapucjanów. Ich wiadomości. Król
i dwór jego. Przyjęcie Gulliwera. Bojaźń i
niespokojność mieszkańców. Charakter
Lapucjanek.*

ZA MOIM PRZYBYCIEM tłum ludu otoczył mnie naokoło, przypatrując mi się z podziwieniem, które i ja razem z nimi dzieliłem, bo nigdy jeszcze nie widziałem ludzi tak osobliwych w swojej postaci, odzieniu i obyczajach. Zwieszali głowę raz na prawą, drugi raz na lewą stronę. Jednym okiem patrzyli w niebo, drugim ku ziemi. Suknie ich były upstrzone niezliczonymi figurami słońca, gwiazd, księżyca, pomiędzy którymi znajdowały się skrzypce, flety, arfy, gitary, lutnie i wiele



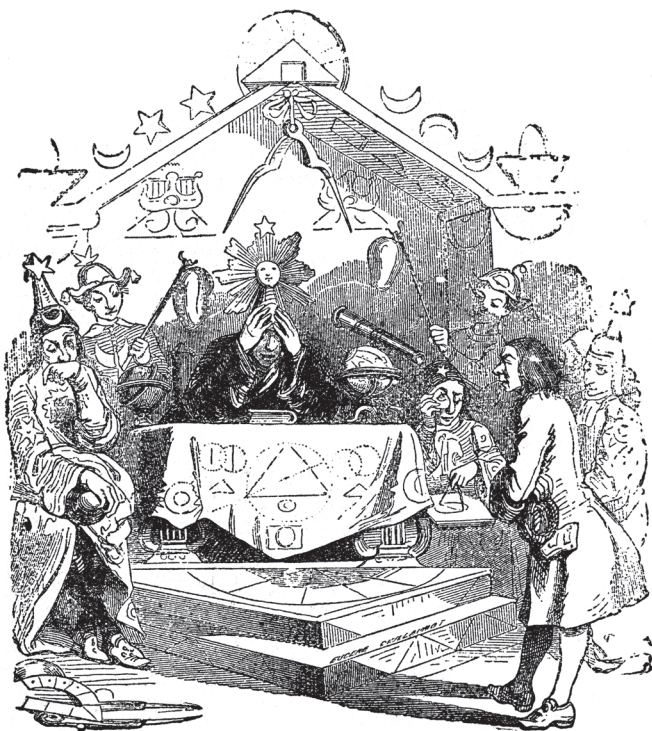
innych instrumentów muzycznych nieznanych w Europie. Widziałem naokoło nich wiele sług uzbrojonych pęcherzami, poprzywiązywanymi do krótkich kijów jak bicze, w których było nieco grochu i kamyków małych. Coraz tymi pęcherzami bili po uszach tych, przy których stali; i nie mogłem z początku przyczyny tego zgadnąć. Umysły tego narodu zdały mi się być tak roztargnione i w zamysłach pogrążone, iż nie mogli ani mówić, ani uważać, co drudzy do nich mówią, bez pomocy tych trzaskających pęcherzy, którymi ich dla ocucenia bito albo po ustach, albo po uszach. Dlatego osoby majątniejsze utrzymywały człowieka, który im służył za budziela, w ich języku zwanego climenole, bez którego z domu nie wychodziły. Do powinności takiego budziela należało, gdy się dwie lub



trzy osoby znajdowały razem, uderzać zręcznie po ustach tego, do którego należało mówić, a potem po uszach tych, co mają słyszeć. On zawsze, kiedy gdzie jego pan wychodził, szedł przy nim i lekko go uderzał po oczach, bo inaczej przez swoje głębokie zamyślenie chlebowca jego mógłby wpaść w jakąś przepaść, uderzyć o słup głową, roztrącać na ulicy przechodzących lub przez tychże zostać wtrącony w rynsztok.

Te uwagi były niezbędnie potrzebne, aby nie zostawić czytelnika w zdumieniu, w jakim ja się z przyczyny dziwnego postępowania tych ludzi znalazłem. Kiedy mnie na szczyt wyspy do pałacu królewskiego prowadzono, przewodnicy moi zapominali często, co mieli czynić, i zostawiali mnie samemu sobie, aż ich budziciel obudził; ani postać moja, ani krzyki mniej roztargnionego od nich ludu nie sprawiały na nich najmniejszego wrażenia.

Nareszcie wprowadzono mnie do królewskiego pałacu, gdzie widziałem Jego Królewską Mość na tronie, w otoczeniu osób pierwszej godności. Przed tronem stał wielki stół zastawiony globami, sferami i różnymi innymi instrumentami matematycznymi. Król nie postrzegł mnie, gdy wszedłem, chociaż tłum przybyły ze mną wielkiego hałasu narobił. Był zatrudniony naówczas dochodzeniem jednego problemu i musieliśmy stać przed nim całą godzinę, nim swoją operację skończył. Miał przy sobie dwóch paziów trzymających w ręku pęcherze. Jeden z paziów, gdy Jego Królewska Mość zakończył robotę, uderzył go pęcherzem łagodnie i uniżenie po ustach, a drugi po uchu prawym. Naówczas król porwał się jakby ze snu i spojrzawszy na mnie i na otaczających mnie ludzi, przypomniał sobie, co mu niedawno powiedziano o moim przybyciu. Rzekł do mnie słów kilka i natychmiast młody człowiek uzbrojony pęcherzem zbliżył się do mnie i po prawym uchu uderzył. Ale ja dałem poznać, że fatyga ta



względem mnie nie była potrzebna, przez co Król i dwór Jego najgorsze o moim rozumie powzięli mniemanie. Król różne czynił zapytania, na które odpowiadałem we wszystkich, jakie tylko umiałem, językach, lecz gdy widziano, że ani zrozumieć, ani zrozumiany być nie mogę, zaprowadzono mnie do jednego pokoju w pałacu i dwóch służących dano mi do usług, gdyż monarcha ten odznaczał się wielką gościnnością. Cztery osoby znaczne uczyniły mi honor usiadłszy do stołu wraz ze mną. Mieliśmy każdy z nas dwa dania, po trzy potrawy. Pierwsze danie składało się z łopatki skopowej wyrźniętej w równoboczny triąguł, ze sztuki mięsa w kształcie romboidu i z puddingu w kształcie cykloidu. Na drugie dano dwie kaczki

podobne dwom skrzypcom, kiszki i kielbasy, które się wyda-
wały jak flety i oboje, i wątrobę jałowiczą mającą kształt arfy.
Chleb, który nam dawano do stołu, był pokrojony w stożki, cy-
lindry, równoległoboki i inne matematyczne figury. Podczas
obiadu pozwoliłem sobie spytać się o nazwiska wielu rzeczy
w języku krajowym i znakomici moi towarzysze byli łaskawi
odpowiadać mi przy pomocy swoich budzicieli, w mniemaniu
zapewne, że będę podziwiał ich zdolności i talenta nadzwycz-
ajne, jeżeli potrafię rozmawiać z nimi. Niedługo potem
byłem w stanie żądać chleba, wina i innych rzeczy potrzeb-
nych.

Po obiedzie przyszedł do mnie jeden człowiek od Króla z
piórem, inkaustem i papierem, dając mi poznać, iż miał rozkaz
nauczenia mnie języka. Bawiłem z nim prawie cztery godzi-
ny, przez które na jednej kolumnie napisałem wiele słów, a
na drugiej, naprzeciwko, ich tłumaczenie. Nauczył mnie też



na pamięć wielu krótkich zwrotów, których sens dał mi poznać, każąc czynić przede mną swojemu służącemu to, co one znaczyły, a więc siadać, wstawać, kłaniać się, chodzić i tak dalej. Potem mój nauczyciel pokazał mi w książce wyobrażenia słońca, księżyca, gwiazd, zodiaka, ekwatora i kół biegunowych, mówiąc mi ich nazwy, a także wszystkie gatunki instrumentów muzycznych, powiadając, jak się który właściwie nazywa. Gdy swoją lekcję skończył, ułożyłem ze słów, których się nauczyłem, bardzo piękny mały dykcjonarz i w krótkim czasie, dzięki szczęśliwej mojej pamięci, nauczyłem się jako tako lapucjańskiego języka.

Wyraz, który przez latającą lub unoszącą się wyspa tłumaczyć, brzmi w oryginale „Laputa”. Prawdziwej etymologii tego wyrazu dojść nie mogłem. „Lap” znaczyło w dawnym i wyszłym już z użycia języku — wysoko, a „untuch” — rządca, z tych dwóch więc wyrazów zrobiło się przez fałszywe wymawianie: „Laputa”, zamiast: „Lapuntuch”. To wywodzenie, jako zbyt naciągane, nie bardzo mi się podobało. Ośmieliłem się więc przedłożyć uczonym inne przeze mnie wynalezione, to jest, że „Laputa” pochodzi z „lap outet”; „lap” znaczy — lśnienie się promieni słonecznych na morzu, „outet” — skrzydło. Nie chcę nikomu mojego wywodzenia narzucać, podaję je tylko pod sąd rozumnego czytelnika.

Ci, którym mnie Król powierzył, widząc, że bardzo źle jestem ubrany, przysłali mi krawca dla wzięcia miary da nowego kroju. Krawcy w tym kraju inaczej sprawują kunszt swój niżeli w Europie. Naprzód zmierzył wysokość moją kwadrantem, potem wziął miarę mojej obszerności linią i cyrklem tudzież proporcje wszystkich moich członków i na papierze pokalkulowawszy przyniósł mi po sześciu dniach suknie bardzo źle zrobione. Ekskuzował mi się, że nieszczęściem pomylił się w rachowaniu. Ku mojemu pocieszeniu widziałem, że takie przypadki często się zdarzały i nikt na to nie zważał.

Dla braku przyzwoitej odzieży i z powodu małej słabości nie mogłem przez kilka dni wychodzić. Powiększył się przez to mój dykcjonarz i jakim znowu pierwszy raz udał się do dworu, potrafiłem już odpowiadać na niektóre zapytania królewskie.

Król Jegomość kazał ruszyć wyspą swoją na północny wschód, a potem na wschód i zatrzymać się w górze ponad miastem Lagado, które jest stolicą całego królestwa na lądzie stałym. Była ona odległa o jakieś dziewięć mil, a podróż nasza trwała cztery i pół dnia. Ruch wyspy w powietrzu nie sprawił mi najmniejszej przykrości. Następnego dnia, koło jedenastej w południe, Król w otoczeniu szlachty, dworzan i znacznie-szych osób grał przez trzy godziny bez przerwy na przygotowanych dla nich umyślnie instrumentach muzycznych. Byłem zupełnie ogłuszony hałasem i nie mogłem odgadnąć, w jakim to dzieje się celu, aż dowiedziałem się wszystkiego od mego nauczyciela. Powiedział mi, że mieszkańcy tej wyspy mają uszy dostosowane do muzyki sfer, która gra w określonym czasie, a dwór był obowiązany w niej uczestniczyć, każdy na instrumencie, na jakim gra najlepiej.

W czasie naszej podróży do Lagado Król Jegomość rozkazał, aby wyspa zatrzymywała się ponad wieloma miastami i miasteczkami dla przyjmowania prośb od swoich poddanych. W tym celu spuszczone wiele sznurków z uwiązaniem na końcu ołowiem, ażeby lud do tych sznurków przywiązywał swoje supliki, które potem ciągniono i które się na powietrzu wydawały jak skrawek papieru przywiązany przez uczniów do ogona latawca. Podobnym sposobem otrzymywaliśmy z dołu wino i żywność.

Wiadomość, którą miałem w nauce matematycznej, wielce mi dopomogła do pojęcia ich sposobu mówienia i wyrazów, które najwięcej brali z matematyki i muzyki, gdyż ja trochę i muzyki umiem. Wszystkie wyobrażenia wyrażają w liniach i figurach, nawet grzeczności ich są geometryczne. Jeżeli na

przykład chcieli wychwalać piękność której panienki, mówili, że jej białe zęby są śliczne i doskonałe jak równoległoboki, że jej brwi są miłym łukiem albo piękną częstką cyrkułu, że jej piersi podobne są do dwóch półglobów i tak o reszcie. Linia prosta, linia krzywa, owalna, parabola, promień, centrum, punkt są u nich słowami, które w mowy miłosne wchodzą. Widziałem w kuchniach królewskich różne rodzaje instrumentów matematycznych i muzycznych; podług ich figur krają mięsiwa na stół królewski przeznaczone.

Domy u nich są bardzo źle pobudowane, narożniki nie są nigdy stawiane pod kątem prostym, a to z tej przyczyny, że w tym kraju geometrię praktyczną mają w pogardzie jako rzecz mechaniczną i podłą. U nich matematyk jest dla głębokiego myślenia, a nie dla publicznego pożytku. Przepisy, które dają rzemieślnikom, są zbyt zawiłe i niezrozumiałe, aby mogły być dokładnie wykonywane: stąd pochodzą niezliczone błędy, lubo w używaniu linii, ołówka i cyrkla są bardzo biegli. Nie widziałem nigdy narodu tak durnego, tak głupiego, tak nieroztropnego we wszystkich czynnościach zwyczajnych, poza matematyką i muzyką. Są to jeszcze prócz tego najgorsi na świecie mędrkowie, zawsze gotowi przeczyć, nawet wtedy, kiedy przypadkiem myślą dobrze, ale to im się rzadko przytrafia. Nie znają, co to jest imaginacja, wynalazek, dowcip i nawet nie mają słów w swoim języku, które by te rzeczy wyobrażały.

Wielu z nich, osobliwie zatapiających się w astronomii, wpada w astrologię, choć z tym się publicznie ogłaszać nie śmie, a co dziwniejsza rzecz, postrzegłem w nich skłonność do polityki i wielką ciekawość do gazet. Nieustannie rozmawiali o interesach stanu i bez ogródek dawali swoje zdania o wszystkim, cokolwiek się dzieje po gabinetach monarchów. Postrzegłem ten sam charakter i w naszych matematykach europejskich, chociaż nigdy nie mogłem znaleźć najmniejszego

związku między matematyką i polityką; myślą może, że jako najmniejsze koło ma tyleż gradusów ile i największe, tak ten, kto umie poruszać globem, może równie łatwo i rządzić światem. Ale czyż nie jest to przywarą raczej wrodzoną wszystkim ludziom, którzy pospolicie lubią mówić i zdania swoje dawać o tym, co najmniej rozumieją?

Naród ten zawsze zostawał w niespokojności i bojaźni, a co innych ludzi nigdy nie trwoży, u nich jest pobudką do nieustannej trwogi i strachu. Lękają się odmiany ciał niebieskich, na przykład, żeby ziemia przez ustawiczne zbliżanie się słońca nie została na koniec jego płomieniem pochłonięta, żeby to światło natury powoli nie osklepiło się swoją pianą i nagle nie zgasło dla ludzi. Boją się, że jeśli ziemia ledwie uszła szczęśliwie pierwszemu komecie, który ją niezawodnie mógł zniszczyć, nie ujdzie przed drugim, który ma się pokazać podług ich rachuby za lat trzydzieści i trzy, i w zbliżeniu swym do słońca przyjmie od niego gorącość dziesięć tysięcy razy większą niżeli rozpalone do czerwoności żelazo, a oddalając się od słońca rozpostrze płomienisty ogon sto tysięcy i czternaście mil mający, przez który ziemia, nawet w odległości stu tysięcy mil od jądra, czyli ciała komety, zostanie spalona i obrócona w perzynę. Boją się jeszcze, żeby słońce, ustawicznie rozpraszając promienie swoje na wszystkie strony, nie wyniszczyło się na koniec i całej swej istoty nie utraciło. Oto są zwyczajne bojaźnie i strachy, które im spać nie dają i wszystkich ich uciech pozbawiają, a dlatego, skoro się tylko z rana z sobą spotkają, zaraz jedni od drugich dowiadują się o słońcu, jak się ma i w jakim stanie zaszło i weszło. W rozmowy takie wdają się z tym samym zapałem co chłopcy, którzy słuchają łąpczywie okropnych opowiadań o duchach i potem boją się położyć do łóżka.

Kobiety na tej wyspie są arcyżywe, za nic mają swoich mężów, a bardzo lubią cudzoziemców, których zawsze znaczna

liczba przybywa na dwór z kontynentu dla załatwienia interesów własnych, jako też różnych korporacji z miast stałego lądu. Lapucjanie nie považają ich wcale, bo nie posiadają żadnych znamienitych zdolności umysłowych. Zwyczaj jest także, że damy znaczne obierają sobie gachów między cudzoziemcami, a co gorsza, że się z nimi bawią bez żadnej przeszkody, z wszelkim bezpieczeństwem, bo ich mężowie tak są zacieczeni w swoich myślach geometrycznych, że się drudzy pieszczą z ich żonami w ich przytomności, a oni tego nie postrzegają, jeżeli tylko mają przed sobą papier i instrument w rękę, a budziciel z pęcherzem przypadkiem się oddali.





Kobiety i panny bardzo są niekontentne, że na tej wyspie jak na wygnaniu zostają, chociaż to jest miejsce najrozkoszniejsze na świecie i choć żyją tam w bogactwach i wspaniałości. Mogą wszędy, gdzie tylko chcą, bywać na wyspie, ale rade by z duszy włączyć się po świecie, bywać w mieście stołecznym, dokąd nie wolno im iść bez królewskiego pozwolenia, które niełatwo otrzymują, ponieważ nieraz doświadczyli mężowie, że trudno je stamtąd wyciągnąć. Słyszałem, iż jedna wielka pani ode dworu poszedłszy za pierwszego ministra, człowieka urodziwego i w całym królestwie najbogatszego, który ją pasjami kochał, gdy się dostała do Lagado pod pozorem ratowania swego zdrowia, zostawała tam skrycie przez wiele miesięcy, aż Król posłał jej szukać. Znalaziono ją w stanie opłakanym w jednym lichym domku. Pozostawiała wszystkie swoje suknie na utrzymywanie jednego brzydkiego

i starego lokaja, który ją bił co dzień. Wzięto ją od niego mimo jej chęci. I chociaż mąż przyjął ją ze wszelką dobrocią, nie wyrzucił jej na oczy tego postętku, owszem, wszelkimi ją ujmował grzecznościami, jednakowoż znowu wkrótce uciekła, zabrawszy wszystkie swoje klejnoty, i poszła szukać zanego swego gacha; od tego czasu żadnej już o niej wiadomości nie było. Może czytelnik weźmie to za historię europejską albo za angielską, ale ja go proszę, żeby uważył, iż dziwactwa kobiece nie są ograniczone do jednego tylko kraju albo klimatu ale wszędy są też same.

Po jakimś miesiącu znaczne zrobiłem postępy w języku krajowym i mogłem odpowiadać na pytania Króla, kiedy przypuszczony zostałem do audiencji. Jego Królewska Mość nie był wcale ciekaw poznać praw, historii, form rządów religii i obyczajów tych krajów, które widziałem; wszystkie jego pytania ograniczały się do matematyki i muzyki. Moich odpowiedzi słuchoał z największą obojętnością i wzgardą, chociaż budziciele ciągle go uderzali cepami.

